

NIWYMAGAJĄCY



— O, droga pani! Nie żądam doprawdy tak wiele, chciałbym przecież zająć tylko mały kącik w pani sercu.

SADY POD LIPĄ

Pod starą piastowską lipą stoi stół, obok kilka krzeseł, na których siedzą poważni panowie. Dwaj policjanci czatują na szosie. Przejżdża jakieś auto. Jeden z policjantów macha chorągiewką, samochód staje.

— Ależ proszę panów — tłumaczy się automobilista — jechałem z szybkością dozwoloną.

— To już pan starosta ustalił... Nieboraka prowadzą pod lipę, gdzie odbywa się sąd starościński. Właściciel samochodu dostaje trzy dni paki za to, że jechał z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Zrezygnowany, zgorzkniały, skazaniec wycofuje się z pod lipy. Na odchodnym pyta policjanta: — Dlaczego nie ukaraliście tego, który jechał przedemną potężnym Buickiem. Robił co najmniej sto kilometrów na godzinę.

— Spróbuj go pan złapać — odpowiada policjant.

CYFRY NIE KLAMIA

Podobno cyfry nie kłamią. Posłuchajmy naukowej dyskusji na ten temat.

— Jeżeli cieśla może wybudować dom w przeciągu dwunastu dni, to dwunastu cieśliów powinno wybudować go w ciągu jednego dnia.

— Tak, tak, a po przeliczeniu na godzinę wypada, że 288 cieśliów wybuduje ten sam dom w godzinę, 17.280 w jedną minutę, a 1.036.800 cieśliów w jedną sekundę.

— Są jeszcze większe dziwki. Jeżeli parowiec plynie do Ameryki sześć dni, to sześć takich parowców powinno przepłynąć Atlantyk w jeden dzień...

WYNALAZEK

Babcie, siedzącej w fotelu, wnuczka czyta tytuły z gazety: — Auto w korycie rzeki... Samolot ląduje na drzewie...

Babka kiwa głową i wzdycha: — Mój Boże, jakie to teraz są wynalazki!

W OGRODZIE POMOLOGICZNYM

Dama do dozorca: — A co to tak mało dziś wróbił? Dozorca: — Niestety, się stało, proszę pani. Jakis urwis wyłamał deskę w płocie i wróble wyfrunęły z ogrodu.

MIĘDZY OZONOWCAMI



— Nowy przydział odpowiada najzupełniej twoim kwalifikacjom i zamilowaniom. Będziesz pilnował tych, którzy w ogóle nie umieją robić.

Cenny materiał żołnierski
(Historia autentyczna)

Żydzi w wojsku są materiałem bardzo cennym.

(Nasz Przegląd z 6 lipca).

Tak, to prawda. Ja właśnie mogę coś o tym powiedzieć, bo lat temu równo 17, przed samym zawarciem pokoju, a już podczas zawieszenia broni, przybyło do mojego pułku między innymi rekrutami kilkunastu rodaków Machabeuszów i trzeba nieszczerze: mnie mianowano komendantem tej paczki.

Licho wie, jakich kwalifikacji pedagogicznych dopatrzył się we mnie dowódca pułku, doświadczenie, po kilku dniach musztry, wydzielono z całej partii rekrutów najgorsze oferty, podobno w tym celu, aby nie opóźniały tempa wyszkolenia innych, lepszych i pewnego dnia w rozkazie dziennym padły złowrogo słowa:

— Plutonowy... (powiedzmy) Very obejmie wyszkolenie rekrutów i wyćwiczenie innych osiemnastu ludzi.

Objąłem, niestety. Cóż było robić? Zaraz na drugi dzień oddano mi ich uroczystie i tyle tylko powiem: do dziś, gdy zdarzy mi się wieczorem (czasem się zdarzy) wypić dwa, trzy kieliszki jakiego napoju, hm... no, gorącego — to regularnie, jak obślawiał, w nocy śni mi się któraś ze scen owego szkolenia. I zaraz budzę się z krzykiem, obłany zimnym potem, dygocący z grozy, szczękający zębami...

Myszę, że jeśli kiedy odzwyczaję się od napojów... no, gorących... to tylko przez tę sny-zmory.

Osiemnastka była dobrana, jak przez amatora-zbiieracza. Siedemnastu Machabeuszów i osiemnastu: utan Szpryniec. Tak się nazywał, dając najświętsze słowo honoru. Kto w moim pułku służył, ten tego mancymonka pamiętał. A na pewno nie jeden z Czytelników przypomni sobie to nazwisko i odrazu zgadnie, o którym pułku mowa. Ten Szpryniec był autentyczny i diabeł i do dziś nie rozumiem, w jaki sposób dostał się do wojska. Absolutnie, dosłownie nie nie rozumiał i tylko jednego zdołał się nauczyć: nazwiska szefa szwadronu.

— Utan Szpryniec! — pytam — kto jest szefem szwadronu?

— Pan wachmistrz Zieleniewski.

— Dobrze. A kto jest dowódcą szwadronu?

— Pan wachmistrz Zieleniewski.

— Kto jest dowódcą pułku?

— Pan wachmistrz Zieleniewski.

— Kto jest dowódcą brygady?

— Pan wachmistrz Zieleniewski.

I tak jechał do dywizji, korpusu, armii. Naczelnikiem Państwa według tego łotra był pan wachmistrz Zieleniewski.

Coś trzy tygodnie ćwiczyłem moich wychowanków, a potem powziąłem niezłomne postanowienie, że sobie w tę strzelę. Na szczęście, podpisano preliminarz pokojowy. W ten sposób Traktat Ryski uratował mi życie.

TELEFON Z TWOREK

Pewien radca departamentu Zdrowia i Wszelkiej Pomyślności wybrał się na lustrację szpitala w Tworkach. Zwiędził zakład, miał sporo przygód i wrażeń, a przed powrotem do Warszawy chciał zawiadomić żonę, o której zjawił się na obiad.

Pan radca łączy się z centralą telefonów podmiejskich, czeka długo, zaczyna się niecierpliwić. Wreszcie, po kilku minutach, usłyszały szmery w słuchawce, wybuch gniewem:

— Czy to stacja? Tak? To panienka ładnie łączy! Dawać mi tu Warszawę.

— Niech pan się uspokoi...

— Dawać Warszawę! Czy pani wie, kto mówi?

— Nie, nie wiem — odpowiada telefonistka, — ale wiem, skąd pan mówi, i to mi wystarczy.

Czy kto uwierzy, że nie możemy moich podkomendnych ustawić w linii prostej? Nikt nie uwierzy, a to szczerą prawdą. Jak oni to robili, nie zrozumieć chyba nigdy, doświadczenie nieodpartą inklinację do urągania prawom fizyki i nie było na to żadnego sposobu. Narzynałem na ziemi linie. Postawiłem wszystkie kulasy nosami butów na linii. Zaczęli z boku: tyy, piersi, brzuchy, rozchylane, jak kłosa na polu. Formuję każdego po kolei. Temu wstawiam brzuch, temu piersi, tego wyciągę za rękę. Spoglądam z boku: z przodu — szereg jak takto prosty, z tyłu — diuny, podorywka, tańcuch górski, licho wie co. Zaczynam inaczej: formuję naprzód wszystkie tyy. Ustawiam je prosto: brzuchy i grzbiety w esy-flore-ty. Ustawiam korpusy — znowu tyy w czterech rzędkach. Uregulowałem wreszcie głowy i korpusy — nogi się rozlatyły i rób co chcesz. A bić nie wolno.

Kwestia „prawo-lewo” była dla tych zbrodniarzy problemem niepojętym, nierozwiązalnym, niedosiędnym. Stosowałem około czterdziestu sposobów pedagogicznych, z których sposób nr. 1 polegał na wiązaniu do butów lewych stopy, a prawych stopy. Godzinę trwała generalna próba, polegająca na staniu w rzędzie i podnoszeniu na komendę kolejno każdej góry. Wreszcie, wydaje się, że idzie jako tako. Ano więc:

— Oddział marsz!

Ruszący gęsiego, każdy z innej nogi, człowiek siłą wstrzymuje mdłości, ale dusi to w sobie, nie mówi, bo o co innego w tej chwili chodzi: jak wykonają zwrot.

Bractwo rozlało się na wszystkie strony i lezie, niczym niewzruszone, przed siebie, jak owce... Co tam owce! Owce przynajmniej idą kupą i w jedną stronę, a ci leżli jak automaty. Rozchodzili się w gwiazdę po całym placu i szli, szli pijani, oczadzieli, bo ja wiem? A bić nie wolno.

Ale co się działo na manewrach? Jeździć, jeździli, nawet kłusem, owsem. Siedzieli, połaż się Boże, ale jakoś siedzieli. Ale na przeszkodzie był jeden powszechny generyał, bezwzględny rytuał: galop — wszyscy za grzywą. Dojeżdżają do przeszkody, każdy, jak jeden

— Nonsens! — odpowiada profesor — w gimnazjum, w którym dają lekcje, jest paruset uczniów, a żaden nie ma bezdzietnych rodziców!

— Tak, to prawda, ale na moje usprawiedliwienie powiem, że od rana do nocy muszę pilnować kłusowników.

— Mógłbyś jednak wpaść choć na pół godziny.

— Zgoda, kochany proboszczu, uprzedzam jednak, że na mój widok co najmniej połowa parafian ucieknie z kościoła.

GROTESKOWY NAPIS

Robotnicy, którzy uprzętał rurowo koło strasznego wybuchu gazu w piwnicy szkoły w Texas, znaleźli tablicę z takim napisem: „Ropa naftowa i gaz ziemny, to nasze bogactwa. Gdyby ich nie było, wasi rodzice nie mieli by pieniędzy na wybudowanie tej szkoły i wy nie siedzielibyście wygodnie na ławkach w tym pokoju”.

WSPOMINKI HISTORYCZNE

Do koszar jednego z pułków warszawskich przyjeżdżają rekrutów. Pan kapral ogląda ich okiem znawcy, robi uwagi i z niektórymi nawiązuje rozmowę. Właśnie podszedł do pewnego młodzieńca i pyta:

— Jak się nazywacie?

— Bolesław Wasiak.

— Skąd jesteście rodem?

— Z pod Raszyny.

— A czy wiecie, że w waszym Raszynie była bitwa?

— Wiem, wiem, panie kapral, była na ostatnią Wielkanoc, ale u nas co rok w święta turbiują się chłopcy, jak sobie dobrze podpiją.

CO TO JEST POWÓDZ?

W gimnazjum, podczas egzaminu do jednej z niższych klas, profesor zwraca się do ucznia zapytaniem, co to jest powódz?

— Powódz, panie profesorze, to taka rzecz, co to zaczyna się od ulew w górach, a kończy się na loterii fantowej pod wysokim protektorem.

CIERPLIWOŚĆ

Pewien znakomity mąż stanu nienawidził dawania wywiadów. Pomimo to jednak kiedyś dotarł do niego dziennikarz i wywiad otrzymał.

Po skończonym wywiadzie mąż stanu powiedział:

— Czy pan wie, że przed pańskim przyjściem odmówiłem rozmowy osiemnastu dziennikarzom?

— Wiem.

— Skąd?

— Bo tych osiemnastu, to ja...

FAKT BEZSPORNY

Panu profesorowi ktoś mówi:

— Coraz więcej szerzy się bezdzietność!

— Nonsens! — odpowiada profesor — w gimnazjum, w którym dają lekcje, jest paruset uczniów, a żaden nie ma bezdzietnych rodziców!

MIŁA ZABAWA

Pani Kokosińska stwierdza ze zdumieniem, że od pewnego czasu w pokoju dziecinny panuje, niezwykła tam cisza.

Zaniepokojona tym objawem idzie do pokoju dziecinny i ze zdziwieniem stwierdza, że ani jednej z jej trzech pociech nie ma!

Natychmiast oczywiście zarządza poszukiwania. Znajduje dzieci na schodach.

— Co wy tu robicie? — pyta.

— Bawimy się w listonoszy.

— W listonoszy?

— Chodzimy do mieszkania do mieszkania po całej kamienicy i wszędzie wrzucamy do skrzynek listy.

— A skąd te listy?

— Znaleźliśmy w biurze kłusowników. W takiej pęczuszce związanej różową wstążeczką.

Pani Kokosińska zemdliała! To były jej listy z czasów narzeczeńskich!

WPADUNEK

— Czy rzuciłeś do skrzynki list, który Ci dałam — zapytuje męża pani Pantoflińska.

— Ależ oczywiście! — odpowiada Pantofliński.

— Kupiłem znaczek w sklepie na Nowym Świecie. Nie mieli jednego za trzydzieści, więc dał mi trzy po dziesięć. Potem zaniósłem list na Główną Pocztę, żeby przedzie poszedł...

Kłamię! — przerywa pani Pantoflińska.

— Ależ kochanie! Daję ci słowo...

— Kłamię! Bo ja zapomniłam ci dać ten list!

W KAWIARNI

— Daj mi papierosa.

— Nie noszę teraz papierosów.

— Żeby się odzwyczaić od palenia?

— Nie!

— Więc dlaczego?

— Żeby ciebie odzwyczaić od palenia!

DZIEWIĄTY

— Czy to pan zgubił banknot stu złotych?

— Tak. Czy go znalazłeś?

— Nie. Ale pan jest dziewiąty, który mówi: tak!

NIEMOŻLIWA!

Właściciel mieszkania pokazuje gościowi portret chłopczyka, mówiąc:

— To jest mój dziadek. Miał wtedy dwanaście lat.

— Niemożliwe! — powątpiewa gość. — Czyż dwunastoletni chłopiec może już być dziadkiem?

maż, przed przeszkodą: grzywy z rąk i rym na te. Sam, dobrowolnie, każdy walił się z konia na ziemię. Na kupę. Jeden na drugiego. Regularnie przeszkoda czyściła konie z jeźdźców. Do przeszkody konie szły, że tak powiem, ugarnirowane facetami, a za przeszkodą — gołe. Natomiast koło przeszkody zostawała kupa ciał.

Myslicie, że wstawali? Diabła tam. Wyraźnie powiadam zostawała kupa. Nieruchoma sterła ludzkiego mięcha. Nie mdleli, nie. Leżeli sobie z zamkniętymi oczami, jak który kłapnął i nic ich nie obchodziło. I żadne rozkazy, komendy, wołania zdaleka nic nie pomagało. Dopiero jakim podchodził do kupy, kupa odrazu wstawała. Wiedzieli, że lepiej, żeby ich nie ratował (bo bić nie wolno), a jak ich pierwszy raz zaczął cucić z tego zemdenia, to później już nie było trzeba.

Pamiętam jeden taki cenny materiał żołnierski. Nazywał się Segat. Wszyscy zamykali oczy przy strzale, to prawda, ale Segat, Zelek Segat, zamykał oczy odrazu, jak tylko usłyszał, że się idzie na ostre strzelanie. Z zamkniętymi oczami wychodził z kwatery na zbiórke, z zamkniętymi oczami stawał w szeregu, pociemku lał z oddziałem na wydymach pod lasem, za wieś, gdzie była urządzona strzelnica i w ogóle nie otwierał oczu, dopóki nie wrócił na kwatery. I żadna siła ludzka nie mogła go zmusić, żeby rozwarł ślepia. Rozkazy, prośby, wreszcie błagania — nie pomagały nic. Doszło do tego, że próbowałem korumpować tego łotra.

— Segat — mówiłem, gdy się kładł na desce, — otwórz oczy. Chociaż celuj z otwartymi ślepiami. Dostaniesz papierosa, otwórz.

— Nie mogę, panie plutonowy. Nie mogę. Co ja robię? Ja chcę, ale nie mogę. To jest chyba nerwowa choroba, czy co. Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

I co powiecie, drodzy przyjaciele? Byłem świadkiem cudu: Segat raz, jak zwykle z zamkniętymi oczami, zaciął się, żyły wystąpiły mu na czole (jak zwykle), strzelił i jak zwykle odrazu przewrócił się na wznak (zawsze to robił po strzale), a obługa łarczy melduje:

— Dwanaście! Centrum!

Nie tylko ja ostupałem, ale cały oddział zdębiał. Otworzyli usta, wytrzeszczyli oczy i tak stali, jak żona Lola, pomnożona przez 17 (bo Segat leżał na wznak).

Co? W sam środek łarczy trafił Segat. Z zamkniętymi oczami strzelił w dwunastkę. Powie kto: „Prawdziwe żydowskie szczęście”? Nie, to cenny materiał żołnierski! Pomysł tylko: inny wytrzeszcza oczy, celuje, mierzy, przymiera, słowem pracuje, jak może i łupnie o dwa metry od łarczy. A Segat? Z zamkniętymi oczami trafia w sam środek. W sam „center”. Czy nie cenny materiał żołnierski?

VERY.

OPINIA ZNAWCY

Niedziela w małym mieście portowym Anglii. W kościele odbywa się kazanie. Właśnie pastor wpadł w ferwor krasomówczy i zaczyna porównywać pijaków do tonącego okrętu.

— Spójrzcie na człowieka, który wypił za dużo whisky. Czyż nie przypomina żaglowca na rozkołysanych falach? Chwieje się z boku na bok, z trudnością utrzymuje równowagę... Podobny jest do masztu z podartym żaglem, który może runąć za łada podmuchem wiatru. Cóż ma robić ten wykołniesz...

W tem miejscu, siedzący na najdalszej ławce marynarz, nie mógł opanować wzruszenia. Powstał i krzyknął:

— Co ma robić? Niech zarzuci kotwicę!

— Jak ci się podobają nowe tapety?

— Dobrze... ale skąd się wzięły te dziwne plamy.

— O jej! Zapomniałem zdjąć obrazów ze ścian.

CO PŁEĆ TO OBYCZAJ



— Wstydz się, Jasiu! Tylko panie się pudrują — panowie myją się.

NA DALEKIM ZACHODZIE

Śniegi stopniały i po półrocznej przerwie do miasteczka Atlas - City zawitał pierwszy pocztowy lion. Przywiózł listy, tytoń i świeże wiadomości ze świata. Traperzy przyjmują go gościnnie.

— Gdzie jest wasz dawny szeryf? — pyta pocztylion.

— Nie ma go. Zawieszony w czynnościach za rozbój.

— Któż go zawiesił, skoro tu nie ma innej władzy?

— Samiśmy go zawiesili. O, na tym debie.

PRZYGODA NA DWORCU

Drewnianymi schodami na dworcu Głównym opuszcza się ku nizinom człowiek obładowany mnóstwem waliz. Jest to najwidoczniej nieszczęsny mąż, gdyż towarzysząca mu dama nie przestaje gderać:

— Wleczesz się i wleczesz, jak mucha w powidłach. Przez ciebie spóźnimy się na pociąg.

Właśnie nadjeżdża pociąg, dama wskakuje do wagonu, pociąg rusza, a zmaltretowany małżonek pozostaje z tobołami na peronie.

— Panie naczelniku — zwraca się do kolejarza w czerwonej czapce — żona mi odjechała bez biletu, a ja zostałem. Kiedy będzie następny pociąg do Krakowa?

— Za minutę.

— Jakto, za minutę... A ten, co odszedł z moją żoną?

— Pańska żona pojechała na wystawę paryską.

STARA ANEGDOTA

Jest to stara, przedwojenna dykteryjka z tych czasów, kiedy jeszcze w Moskwie hulali przedstawiciele stanu kupieckiego.

Do restauracji „Esplanad” przychodzi wspaniały brodac. Zamawia butelkę czystej, ćwierć funta kawioru i samowar herbaty. Wypil kilka kieliszków, rozejrzał się dokoła i raptem zauważył śpiewającego w klatce kanarka.

— Co to za ptaszek?

— Kanarejką go zwiemy — odpowiada kelner.

— Ile kosztuje?

— Piętnaście rubli, waszestwo.

— Doskonale, proszę go zaraz ugotować i podać w potrawce z ryżem.

Po upływie pół godziny kelner przynosi rondelki.

— Gotowe? — pyta kupiec.

— Gotowe.

— To proszę mi odkrajać porcję za dziesięć kopiejek.

ROZTARGNIENIE



— Jak ci się podobają nowe tapety?

— Dobrze... ale skąd się wzięły te dziwne plamy.

— O jej! Zapomniałem zdjąć obrazów ze ścian.